Magiczny Kraków

Kryminalna historia Krakowa. Śmierć ukryta w pomarańczy

2026-08-05

Tekla z Nagrodzkich Krokiewiczowa od dziesięciu lat była żoną Marcina Krokiewicza. Małżeństwo zawarli w 1825 roku w parafii Świętego Krzyża. Mieli dzieci i prowadzili spokojne życie na krakowskich przedmieściach. Nic nie zapowiadało, że luty 1835 roku na zawsze odmieni losy tej rodziny.

Luty 1835 roku był w Krakowie wyjątkowo mroźny. Niewielka Rzeczpospolita Krakowska, licząca zaledwie kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, żyła rytmem codziennych spraw. Zabójstwa należały do rzadkości, dlatego każda gwałtowna śmierć natychmiast stawała się tematem rozmów w domach, kawiarniach i na targowiskach.

17 lutego do domu skromnej urzędniczej rodziny Krokiewiczów przyszła kilkuletnia dziewczynka. Powiedziała, że ma przekazać pani domu pomarańczę od siostry. Dziecko wykonało polecenie i odeszło. Tekla Krokiewiczowa przyjęła owoc. Nie rozpoznała dziewczynki, nie była krewną rodziny ani znajomą. Po prostu powierzono jej doręczenie owocu pod wskazany adres.

Krokiewiczowa nie wiedziała też, kto konkretnie przysłał ten niecodzienny upominek. Pomarańcza była wówczas towarem drogim i egzotycznym. Sprowadzana z południa Europy pojawiała się przede wszystkim na stołach zamożniejszych mieszkańców miasta. Taki podarunek mógł uchodzić za niezwykły wyraz życzliwości.

Gospodyni chciała poczęstować nią dzieci, ale kiedy dzieci już spały, nie mogła dłużej walczyć z własnym łakomstwem, sama obrała owoc i zjadła go.

Niedługo potem poczuła się źle. Najpierw pojawiły się gwałtowne bóle brzucha. Potem wymioty, narastające osłabienie i kolejne objawy zatrucia. Wezwani lekarze byli bezradni. Stan kobiety pogarszał się z godziny na godzinę. Po trzech dniach Tekla Krokiewiczowa zmarła.

Śmierć kobiety nastąpiła tak szybko, że od początku wydawała się podejrzana i zwróciła uwagę ówczesnych organów ścigania. W Krakowie szybko zaczęto mówić o otruciu. Ówczesny „Kurjer Krakowski” pisał o zbrodni „z tak zimną krwią ukartowanej”, która poruszyła mieszkańców miasta. Cytat ten przywołuje Jan Widacki w swojej książce „Stulecie krakowskich detektywów”, odwołując się do relacji prasowej z 1835 roku.

Śledczy rozpoczęli dochodzenie od najbliższego otoczenia zmarłej. Przesłuchiwano członków rodziny, znajomych i osoby utrzymujące kontakty z Krokiewiczami. Zwrócono uwagę także na Marcina Krokiewicza, męża Tekli. Według relacji przywołanej przez Widackiego był on człowiekiem lubiącym towarzystwo młodych kobiet zatrudnionych w charakterze służących i garderobianych. Nie oznaczało to jeszcze winy, ale dawało śledczym pierwszy trop prowadzący poza najbliższy krąg rodziny.

Przełom nastąpił dzięki osobie, której nikt nie traktował jako świadka

Dziewczynka, która zaniosła pomarańczę, opowiedziała rodzicom o dziwnym zadaniu, jakie zleciła jej

młoda kobieta spotkana na ulicy. Rodzice natychmiast zgłosili się na policję. Dziecko poproszono o udział w okazaniu.

Wśród kilku kobiet bez najmniejszego wahania wskazało tę, która wręczyła jej owoc. Była nią osiemnastoletnia Józefa Kicka. Nie była osobą znaną ani pochodzącą z zamożnej rodziny. Pracowała jako garderobiana, należała więc do licznej grupy młodych kobiet utrzymujących się ze służby u bogatszych mieszkańców Krakowa.

Nie wiadomo do dzisiaj, co kierowało Kicką. Nie udało się ustalić jej związków z rodziną Krokiewiczów. Nie znamy motywu zbrodni, nie wiadomo również, czy działała sama, czy wykonywała polecenia kogoś innego.

Proces

Proces Józefy Kickiej odbił się szerokim echem w Krakowie. Mieszkańców fascynował przede wszystkim sposób popełnienia zbrodni. Nie użyto noża ani pistoletu. Zabójca posłużył się prezentem. Pomarańcza stała się narzędziem śmierci. Do dziś nie wiadomo jednak, jakiej substancji użyto do zatrucia owocu.

Trybunał uznał Józefę Kicką za winną. Zastanawia wyrok. Za umyślne otrucie kobiety sąd wymierzył karę piętnastu lat ciężkiego więzienia. W realiach XIX wieku nie była to kara najwyższa, co może sugerować, że sąd dostrzegał okoliczności łagodzące albo nie zdołał wyjaśnić wszystkich elementów sprawy. Wydawało się, że sprawa została zakończona.

Jak podaje Jan Widacki w „Stuleciu krakowskich detektywów” po około półtora roku od osadzenia Józefa Kicka zdołała uciec z więzienia. Nie wiadomo, w jaki sposób wydostała się z zakładu karnego. Nie wiadomo również, czy zrobiła to sama, czy ktoś jej pomagał. Po ucieczce ślad po skazanej urywa się. Nie wiadomo, czy opuściła Kraków, czy ukrywała się w mieście pod innym nazwiskiem. Nigdy nie natrafiono na jej ślad.

W dostępnych źródłach brak informacji o ponownym zatrzymaniu skazanej. Jej nazwisko znika z dokumentów równie nagle, jak pojawiło się w czasie śledztwa.

Do dziś nie wiadomo także, jaką substancją byłą nasączona pomarańcza i czy Józefa Kicka rzeczywiście była jedyną osobą odpowiedzialną za śmierć Tekli Krokiewiczowej.

I nawet po blisko dwóch stuleciach historia zatrutej pomarańczy nadal pozostaje jedną z najbardziej tajemniczych kart krakowskiej kryminalistyki. Zachowały się informacje o śmierci, śledztwie i wyroku. Zaginęły natomiast odpowiedzi na pytania najważniejsze – kto naprawdę zaplanował zbrodnię i dlaczego wybrał tak niezwykłe narzędzie mordu. To właśnie te niewyjaśnione do końca okoliczności sprawiają, że historia Tekli Krokiewiczowej wciąż fascynuje historyków i miłośników dawnych kryminałów.